

Mgobo Tubylec i wielki wieloryb - II — prospersurman

Od autora: Szanowni Państwo. Przesyłam drugi rozdział opowieści (Rozdział 2, w którym Mgobo i Bagu spotykają kolejne nieszczęścia, lecz wielkiego wieloryba ni widu, ni słyhu) zgodnie ze sugestią zamieszczoną na stronie, a dotyczącą dzielenia dłuższych tekstów na mniejsze części. Określiłem ją kategorią "bajka", choć mianem bliższym treści byłaby opcja "bajka dla dzieci zamkniętych w dorosłych". Całość tekstu składa się z dziewięciu rozdziałów i około 30 tys. słów. Z poważaniem, Prosper Surman

Rozdział 2, w którym Mgobo i Bagu spotykają

kolejne nieszczęścia, lecz wielkiego wieloryba ni widu, ni słyhu.

Mgobo i Bagu dryfowali pośrodku cichego oceanu, patrząc przez chwilę w ślad za niknącym Słońcem; wspólne spotkanie było więcej niż bardzo strofujące. Zapadło niezręczne milczenie. Obaj tubylcy spojrzeli po sobie z niekłamaną nieśmiałością i bliźniaczo kiwnąwszy łepetynami, zaraz przeciągle ziewnęli, jeden po drugim. Chłopczyk przeciągnął się w mizernym czółenku na szerokość wiotkich ramionek. Choć chciał, nie wydusił z siebie ani słowa i milczał jak zakłęty. Nieśmiałość zdążyła spętać ochoczy język. Kątem oka podpatrywał ruchy starca, który siedząc okrakiem na bali, też nabrał wody w usta. Choć dumał, uwadze Bagu nie uszły najdrobniejsze szczegóły chłopięcej twarzy, włącznie z linią wysuszonych ust. Starczą ręką sięgnął ku nagiemu biodru, gdzie przytroczony do przepasanego przez ramię rzemienia spoczywał bukłak, z wodą słodką drzemiącą w środku. Dorobek całego życia. Prócz niego i ostatniej bali Bagu stracił niemal wszystko

Ty musisz dużo pić. Ty młody. Skóra pęka bo sucha - wskazał starzec, jednocześnie sunąc palcem po sonej kresce własnych ust. Mgobo oblizał popękane wargi.

Pij – zachęcił, podając mu bukłak.

Zaprawdę królewskie dłonie rzadko wznosiły większy skarb. Co po jednym klejnocie, choćby największym, gdy skarbiec pęka w szwach, zewsząd kapie złoto, a w piecu trzaska cynamon? By docenić podobny dar, trzeba po trzykroć pustki: w mieszku, brzuchu i sercu; tylko głowa nie może być pusta. Bukłak. Ta jedyna rzecz, która przetrzymała sztorm, wtulona w bok mężczyzny. Jedyna słodka woda pośród słonego morza goryczy. Jedna szansa na tysiąc przegranych.

Chłopiec zacisnął drobne palce na skórzanym osierdziu, tym uchwyconym zadatku życia. Uważał, by przypadkiem nie musnąć obcej dłoni. Starzec puścił bukłak i łagodnie cofnął rękę. W ciszy, która zapa-

dła, lustrował chłopca spod półprzymkniętych powiek, gdy ten odkorkował bukłak i przechyliwszy szyjkę, wlał stróżkę wody do palącego gardła. Zimna wstęga runęła przez rozwartą studnię niczym sznyt bólu. Na przekór ulgi, samo uczucie nie należało do przyjemnych; paradoksalnie mierzące jak to, kiedy do wcześniej skrępowanych dłoni wraca życiodajna krew.

Chłopiec pił w zapamiętaniu; jego grdyka to opadała, to znów się wznosiła. Przerwał gwałtownie i z tęsknotą wypisaną na twarzy, oderwał rozmokłe usta od wilgotnej szyjki. Chciał oddać półpełny bukłak, lecz Bagu pokręcił energicznie głową i machnął otwartą dłonią: „Ty pić więcej, wolno”.

A Ty co pić? - martwił się Mgobo - gdy bukłak pusty.

Głośny śmiech pocieszył zatroskany głos:

Ja pić tylko sok z bananów. On dawać siła - dla potwierdzenia tych słów starzec naprężył sflaczałe mięśnie – Woda dawać tylko mokość w wyschnięta usta. A chłopcy muszą pić więcej.

Zachęcony Mgobo z rozkoszą opróżnił bukłak do cna. Gdy zgarnął językiem finalną kroplę, oblizał usta i poklepał się po zaokrąglonym brzuchu jak po sutym posiłku. Niestety, ledwo to zrobił, zaczął na powrót marnieć w oczach. Teraz, kiedy przełknął już całą słodką wodę, nadszedł czas na przełknięcie całej gorzkiej prawdy: nawet Bagu nie należy z pustego. Po opróżnieniu bukłaku, rozbitkowie zostali z pustymi rękoma; w posiadaniu sfatygowanego czółenka, nadłamanego wiosła, pustej manierki i rozmokłej bali mieli tyle co nic. Niezbyt wiele, lecz widać - wciąż za dużo, bowiem oto los-szuler znów postanowił dobrać kartę z cudzej ręki.

Drogi Czytelniku, uczuj zaskoczenie obu tubylców na widok przeciekającej bali. Sęk, który tkwił dotąd solidnie w pniu, nieniekajony, nagle odskoczył i odkorkował całość konstrukcji. Fontanna wody strzeliła powstałą dziurą i jęła podtapiać pal i pasażera. Zachodziłem w głowę, jak to możliwe, ba, kołatałem (się), ale nie trafiłem na odpowiedź. Jest zasada, że drewno woli pływać niż tonąć i pozbawione widocznych szczelin, nie ma zwyczaju przeciekać; podobnie, wyspy nie znikają, a wieloryby-kanibale to czczy wytwór fantazji. Tak podpowiada zdrowy rozsądek, którego sympatykiem sam jestem i zazwyczaj mu przytakuję (bo zazwyczaj ma rację); tylko czasem staję okoniem, a trzeba wiedzieć, że bywam uparty jak osioł. Właśnie tak jak teraz; na bok sympatie - co też poradzę, że widziałem to, co widziałem i nie mam zamiaru pójść po rozum do głowy wbrew świadectwu oczu. Zresztą, tonięcie bali to nie pora na pytania empiryczne, lecz stanowcze działanie (Poza tym, kto dochodzi tożsamości nieszczęścia raz uj-

rzawszy jego twarz?). W obliczu zagrożenia Bagu zareagował jota w jotę jak noc wcześniej - legł na wznak, gotów sięgnąć dna wraz ze szczapą; spod przywalonej ciałem dziury tryskała postrzępiona fala wody i rosła wszystko dookoła. Wciąż zaskoczony Mgobo ani myślał zostawić starca na łodzi (w końcu łódź to nic innego jak zmrożona na kość woda, o czym przekonamy się daleko dalej). Wiosłując ostrożnie, chłopiec niemal dobił do wraku i w odległości kilku stóp od starca, podsunął mu brzeg nadłamanego pióra.

Ty łap! – krzyczał chłopiec, machając drągiem. – Ja cie ratować!

Nie – zaprzeczył mężczyzna apatycznie, jednak ściśnięty głos zabrzmiał nutą fałszu, gdy z nieobecnym wyrazem twarzy spoglądał w przepastne niebo, na to wybrzeże pogasłych gwiazd. Gdzie była ta, która należała do niego? Czyżby już dawno spadła, przynosząc szczęście innym, a porzucając podopiecznego?

Bala wodowała przed pójściem na dno i starzec poruszył sklejonymi wargami, by wytłumaczyć cichutko

- Czólno za mała dla dwóch. Utonie jak deska.

Jak ciężko zdzierżyć widok nagiej prawdy nie owiniętej w bawełnę; chyba tylko dziecko ma równie niewinne oczy. Mgobo nie zaprzeczył, bo wiedział, że racja jest po stronie Bagu. Uważaj, Drogi czytelniku - to właśnie ta pewność pchnęła go do działania. Odrzucił wiosło na dno łodzi, gdzie upadło z głuchym plaśnięciem, i położył się w poprzek konstrukcji. Zaparty plecami o lewą burtę, naparł na drugą bosymi stopami. Sapnął cichutko, wyprężony i zdwoił wysiłki, pomimo że namokłe drewno nie stawiało dużego oporu malutkim piętom. To był jego kawałek świata, prywatność, którą kształtował wedle własnej woli. Naparł ponownie, tym silniej. Jeśli on rośnie, to czółenko też powinno. Pamiętał dni, gdy był o wiele mniejszy, teraz zostawił je daleko w tyle, jak gdyby z nich wyrósł. Dlatego musi się udać. Naparł w pocie czoła. Później jeszcze raz. Parł aż do skutku.

Teraz! – wysapał triumfalnie, grzebiąc się z dna już rozciągniętej łódki. Chwycił wiosło i sięgnął nim wiotkiego ciała poniżej - Teraz czółenko duże. Wejść.

Stoicko zaciekawiony, Bagu otworzył jedno oko; ledwo to zrobił, a spod powieki błysnęła isierka nadziei. Nie było ani chwili do stracenia - potylicą nikła już w kąpieli (A może to była kipieli?). Na przekór sytuacji, igrając z losem, starzec nie śpieszył się. Powoli, jakby ospale, bez emocji i zbędnego poruszenia, z zamkniętymi oczami wymacał wyciągnięte wiosło. Niedbale zacisnął dłoń na śliskim piórze wiosła i równie opieszale pociągnął; tutaj, ze swojej strony, rozkładam ręce nad równie beznadziejnym przypad-

kiem: oczywiście, wystarczyło delikatne szarpnięcie, a naderwana część odpadła (i nie sędzę, by w tym obrocie sprawy było coś komicznego). Pochylony Mgobo stracił równowagę i poleciał do tyłu. Z drągiem w dłoniach, runął na dno rozkołysanej łódeczki i choć nie była ku temu pora, malec zobaczył na niebie kilka roztańczonych gwiazdek. Poniżej, Bagu zniknął pod wodą na dobre kilka chwil, jednak w końcu wypłynął do góry, parszając głośno. Z palcami kurczowo uczeponymi kawałka nadłamaney szansy, starzec stracił rezon i zaczął krzyczeć:

Pomoc – wołał na całe gardło – Pomoc. Ratować.

Wiem, Drogi Czytelniku, że to co zaraz opiszę, trąci amatorszczyzną i brakiem smaku, jednak, przede wszystkim, nie odbiega od prawdy. Koniec końców, ja tylko spisuję wydarzenia, nawet na przekór ich prawdopodobieństwu. Wywołana, pomoc nadpłynęła niespodziewanie i niespodziewanie szybko. A nuż, nawet, gdy jesteśmy przekonani o naszej samotności, ktoś pilnie nadstawia ucha i słucha? Tym razem, raban dobiegł kilku rozbrykanych delfinów, a te od razu podpłynęły w poszukiwaniu zabawy. Roześmianym wzrokiem zmierzyły całość zamieszania i w mig pojęły obrót sprawy. Obyło się bez słów. Zanurkowały i pruły pod wodą by wynurzyły się dokładnie pod Bagu, który właśnie spadł z bali w morze. Jednocześnie uderzeniem tria nosów przerzuciły ciało starca za burtę łódki, o mało go przy tym nie przebiwszy; samo czółenko zabujało groźnie, kwitując niezapowiedzianą wizytę. Bagu leżał na dnie obok przewróconego Mgobo (leżał z pustymi rękami, bo gdzieś po drodze na czółno, wypuścił z dłoni ścisną kłepkę).

Ujrawszy naprzeciwko zahukaną twarz starca, Mgobo przerwał żalobę i roześmiał się serdecznie. Jest wielką tajemnicą, jak szybko chmurzy się i rozpogadza twarz dziecka; szybciej bodaj niż wiosenne niebo. Rozpromieniony, chłopiec nie mógł dać wiary szczęśliwemu splotowi wydarzeń. Wnet doskoczył do burty i pozdrowił ratowników. Delfiny zaszczebiały salwą wysokich pisków i dodatkowych plusków. W odpowiedzi, ufne oczy nieboraka omiotły wzrokiem pokład u stóp (była to już spora łódeczka, więc i słowo „pokład” wydaje się na miejscu). Mgobo wypatrzył na dnie śniętą ryby, która musiała wpaść do środka podczas tragicznego sztormu i rzucił smakołyk delfinom w ramach podziękowania. Srebrne nosy obwąchały padlinę: werdykt jury był miażdżący. Obróciwszy się ogonami, delfiny posłały rybę z powrotem do darczyńcy: ta piracka brać. nie przepadała za sztokfiszem (jest to ryba suszona, i przysmak Wikin-gów, choć podobno o gustach się nie dyskutuje)); Bagu usiadł i przetarł oczy, gdy nad jego głową świsnęła latająca ryba. Wyjrawszy za burtę, uśmiechnął się powoli. Był to nadzwyczajny widok: jeszcze wczoraj starzec święcie wierzył, że tylko sok z bananów przynosi uśmiech. A tu takie zaskoczenie. Delfiny obrzuciły nieboraka spojrzeniem rozigranych oczu. Jako zwierzęta wodne miały problem z usiedzeniem w jednym miejscu, więc wnet zaczęły skakać ponad łódką i zraszać zadarte głowy wędrowców świeżą, morską wodą. Mgobo chłonał akrobatyczne popisy. Kręcono salta, becзки i zgrabne figury, cza-

sem pod rząd, a czasem za jednym zamachem. Liczenie wyczynów utuliło zmęczonego chłopca, tak że po chwili zapadł w długi i długo wyczekiwany sen.

Gdy chłopczyk zasnął, starzec wciąż myślał o wielkim wielorybie, wiosce i Złotej Twarzy. Wyprosił zadanie, tylko po to, by pojąć, że to nie on jest jego powiernikiem (osoba, której coś powierzono). „Chciałbym odnaleźć wioskę” zżymał się w głowie, lecz czy doprawdy chciał? Wspomnił ułamek ogromu Wieloryba: majestat jego ledwo uchylonej paszczy... aż strach pomyśleć. Zaraz opadł z sił i poczuł się ofiarą, zdany na pastwę stwora. Zamarł, lecz myśli pędzimy naprzód niczym w osobliwym kręciołku. Cała wyspa – jego mikrokosmos - zgarnięta jak szerniały placek z rozgrzanej patelni. Co on mógł... znaczy, mógł zostać na miejscu i czekać śmierci bez dalszych zmagania. Tak, niedawno dojrzał ją na horyzoncie. Uszła przy pierwszych promieniach Słońca, ale raz zbyta, musiała kiedyś wrócić. Był już bardzo stary... być może starszy od wielkiego wieloryba. Jeśli tak, jak mógł z nim walczyć? Czy słyszał: „Z podniesionym czołem” lub „Z dumą wypisaną na twarzy”? Problem, w tym, że to Bagu się wypisał, już dawno temu. Stapał po skradzionej ziemi nim złodziej dał drapaka z głębin oceanu. Teraz miał podjąć z nim pogoń jak równy z równym, lecz bez słowa o równych warunkach? Fraszka jest walka pozbawiona arbitra i rozjemcy, forum silniejszych i zapadliskiem słabszych. Nie będzie brał udziału w tej szopce. Jutro pierwszy raz w życiu powie Złotej Twarzy, co też leży mu na sercu, zamiast jak zwykle: co sercu na rękę. Odmówi pogoni wielkiego wieloryba, choć wnet padnie rażony gniewem z jasnego nieba... Już się z tym pogodził. Tak być powinno, być może. „Lepiej szybciej niż później”, uciekał się do śmierci. Z dała od lądu zamarudzą raptem kilka dni więcej. Zero świeżej wody lub owoców; o bananach wołał zapomnieć; już nawet skóra bukłaku schła na skutek dehydratacji (to jest odwodnienia).

Naprzeciw spał Mgobo. Starzec westchnął i przekrzywił obolałą głowę. Ukośne, papuzie spojrzenie nakryło nagie ciało, przeczesalo roztargnione loczki i obrysowało rysy uśpionej twarzy kalką czułości. Małutka pierś rosła i wiodła w rytm miarodajnego oddechu. Nawoływania delfinów i pluski towarzyszące ich wyskokom uszły uwadze malca, biedak zapadł w sen tak głęboki, że wzrokiem sięgał dna oceanu i omal przejrzał świat na wylot. Nim się obudzi zapomni o wszystkim, co odkryte poza jawą.. „Nie ma szans na przeżycie” pomyślał o nim Bagu, „Nie tutaj”. Ścisnął pewnie krawędzie łódki - również ona marniała z każdą chwilą. Wymuszony wzrost brodził w skutkach ubocznych: ścianki łódki stały się dużo cieńsze, niemal przejrzyste.

Czarna dłoń potarła o biały zarost. Swędzenie w gardle utrudniało zebranie myśli; ból głowy nie ustąpił, w ustach wzbierała narastająca suchość. Bał się, że lada chwila spomiędzy zaciśniętych warg sypnie biały piasek. Spąsował i na powrót pobladł. Nicość otoczenia bezustannie wabiła śmierć, tu, na bezludzie. Dla Bagu, wyspa była jedynym światem (za wyjątkiem oceanu, ale on był tak wielki, że w zasadzie pozbawiony znaczenia) i tubylec nie miał w zanadrzu zapasowego. Nigdzie indziej palmy nie rodziły owoców, a sok z bananów nie czekał w glinianym garncu oblanym rzęsistością skroplonej perspiracji. Ta ostatnia myśl zelektryzowała zwiotczałe ciało, więc przemyślał ją ponownie. Mógł znieść wiele, zdany na nieznane wyroki losu, pozbawiony prawa do apelacji i obrony, przełknąć upokorzenia i szykany, dać głowę pod topór lub zawisnąć na stryczku, ale to... Czy miał pożegnać sok z bananów na całe życie, aż do chwili śmierci. i, niedoczekanie, na wieczność po niej. Czy śmierć nie miała być momentem ponownego spotkania z ukochanymi? Tak, jeśli wierzyć starym opowieściom... Ich twórcy już od dawna nie żyli, a nie przemówili zza grobu, by zadać im kłam. Jednak, wciąż nie miał pewności. Skąd mógł wiedzieć, że umorzony doczesnym postem, będzie się sycić podczas pośmiertnej biesiady, biesiady polanej mlecznobiałym syropem. A jeśli po drugiej stronie sok z bananów jest mrzonką, skamieliną zamierzchłej przeszłości. A jeśli tam wcale nie ma bananów i owocujących bananowców, jeśli zaświaty to pusta dolina obdarta z bylin i życiodajnego plonu.

Basta. Nie czas tracić życia na myślenie o śmierci. Pora otrzeźwieć i przejrzeć na oczy: Bagu potrząsnął głową i sięgnąwszy za burtę, skropił obrzękłą twarz pojedynczym pluśnięciem. Fukając cicho, zerknął na chłopca spojrzeniem bardzo czytanych oczu (choć był analfabetą). „Ten chłopiec przeżył sztorm.” dekował malca w sercu, „Wraz ze swoim czółenkiem znieśli więcej niż mieli prawo. Powinni utonąć, jednak wciąż dryfowali” ... te zmagania nabiorą znaczenia tylko wraz z dotarciem do wyspy, Bagu dobrze to wiedział. Po drugiej stronie rozwidlenia wyboru czekały odmęty zapomnienia; nie tego chciał, choć nie potrafił ubrać w słowa samego pragnienia.. Chciał dla niego czegoś lepszego... i mniej odległego. Czegoś co czeka za rogiem... Czegoś bliskiego... Czegoś lepszego... Chciał... Lepszego jutra! To odkrycie spadło na starca jak grom z jasnego nieba i zajaśniało w półmroku wątpliwości; zdecydował – pomoże Mgobo odnaleźć wielkiego wieloryba i robi to już teraz.

Leciutko, tak by nie zbudzić chłopca, Bagu zmienił swoją pozycję w łódce. Przerzucił smukłe i żylaste dłonie za burty; jego paznokcie zawisły kilka cali od parującej wody, gdy zdarte łokcie znalazły oparcie na obrysie łódki. Czółenka czekało w niepewności, obserwując poczynania starca; dotknięte, drgnęło lekko, lecz wnet nabrało rezonu i ponownie zastygło w bezruchu. Ledwo Bagu pochylił się do przodu, a już jego palce czesały grzywy malutkich fal; ich rażny korowód opływał boki czółna i zraszał wyschniętą skórę. „Jeśli kiedykolwiek mam skończyć, to najwyższy czas zacząć” pomyślał, chuchnął cicho pod nosem i zanurzył obie dłonie na podobieństwo wiosł. Ciepły prąd oblał nieruchome nadgarstki, czemu

towarzyszył głęboki wdech wioslarza. Chwilę potem przygarbiony starzec zaczął prostować kręgosłup: rwanym szarpnięciem, ściągnął ku sobie barki, efektem czego dłonie zatoczyły poniżej posuwisty ruch i wynurzyły się za jego plecami, odgarniając wodę na boki. Kilka dodatkowych cali wysiłku i już. Udało się! Wiktoria (bo przecież, nie pyrrusowe zwycięstwo, skoro sukces wioslarza poruszył nawet zwykle niewzruszonym członkiem) Bagu rozkraczył nogi i tym silniej zaparł się o dno zrogowaciałymi piętami. Kolejny młyniec rękami, a łódeczka wyrwała o kolejny ułamek długości do przodu (dokładnie: trzy ćwierci). Chłodna bryza studziła jej rozgrzane boki. Rozbrykane delfiny, które w połyskującej aurze zapadającego zmierzchu nadal toczyły srebrne obrączki w powietrzu, podpatrywały z niekłamaną ciekawością na te zmagania. Trzy pary czarnych paciorków śledziły wiosłowanie, a ceniąc sen uroczego chłopca ponad własne szanty, zachowały ciszę. Niczym tnące sople srebrnego lodu wchodziły gładko w błękitną błonę ocean tak, że zdało się: mogą to robić w nieskończoność.

Gdy chwaty kręciły kolejne fikołku dokoła, Bagu zaparcie wiosłował. Z doświadczenia wiem – nie własnego, o co to, to nie - że krople potu najszybciej zmywają pozory uporu; Bagu to nie groziło, bowiem to nie upór a napór okoliczności pchał go naprzód, coś co miało trwać do samego finału. Okiem i ręką podążał za Złotą Twarzą, choćby na koniec świata; już teraz obrali właściwy kierunek, znów na tropie... poza tym, mniejsza o kierunek – płynęli i to było najważniejsze. Na jałowym horyzoncie zakwitł daleki cień szansy. A nuż, jeśli się pośpiesza, złowią go przed zachodem Słońca. Ledwo cień... całej trójki nie pomieści, ale kogoś na pewno skryje. Może nawet, z czasem liczonym kolejnymi młyncami rąk, dostatecznie podrośnie i będzie leżał jak ułał na barkach całej trójki. Może sami go rozepchną? Czas, właśnie ten czas, pokaże

Teraz, któż wiedział, co przyniesie nieprzeniknione morze? Ani starzec, ani łódeczka; nawet Mgobo, błądząc w ułudnym śnie, nie wpadł na właściwą myśl. Pośrodku oceanu, dwóch rozbitków i jedno nieduże członko wyglądało własnego domu. Wszystko co znali, zniknęło, porwane za horyzont, uprowadzone. Teraz mieli wyłącznie siebie... ale kto wie?, może mieli również siebie nawzajem. Drogi Czytelniku, rozumiem twoją wzniosłość, gdy wzruszasz ramionami i mówisz: „Złe miejsce wybrali na poszukiwania.” Zrozumiem, gdy dodasz bez zająknięcia czy przecinka: „Kto zdrów wypatruje domu na środku oceanu?” Przecież usta same składają się do uśmiechu na tak chybiony pomysł. To zrozumiałe. Wspomnij jednak moje słowa, choćbyś zlekceważył ich treść: dla osób pozbawionych wyborów, śmiech, szczególnie ten cudzy, nie rysuje lepszych opcji. Rozbitkowie chcieli po prostu, po ludzku, przeżyć, a jedyne życie które posiadli zrabowane wraz z wyspą. Jeśli wydają się prostoduszni, trudno, ich wina. W obronie powtarzam, że podjęli się równie syzyfowe pracy nie z wyboru, lecz z jego braku, a jeśli to nie wystarczy, dodam śpiesznie myśl wieńczącą: Jeszcze nigdy nie odpłynęli tak daleko od wyspy, tak gorąco pragnąc dotknąć jej brzegu.

Minęło wiele godzin. Gdy Słońce skoczyło za horyzont z przeciągłym ziewnięciem, a ze wschodu płynął rezolutny Księżyc nucąc pod nosem sobie tylko znaną kołysankę, starzec wyjął oklapłe dłonie z wody. Wokół znów zakwitła cisza - po ostatnim, bisowym skoku nad łódką delfiny zanurkowały w morzu i już nie wróciły. Bez przesady i kozery napisze, że Bagu nie czuł własnych rąk, gdy ciągnął je zza burty; w rzeczy samej, trochę mu to zajęło. W końcu, po przydługich zmaganiach przyjrzał się podejrzliwie znajomym, a jednak całkiem niepodobnym rękom i wiedział, że już na oko były stanowczo za długie. Dorośli mawiają, że woda wyciąga, ogółem, mówią tak wiele głupstw, że ciężko im wierzyć na słowo, a już prawie nie sposób - co do słowa; w tym jednym przypadku, mogli mieć nieco racji. Starcze naręcza rąk ciągly się łokciami, gdy ich sploty legły serpentyną u stóp Bagu. Zmiana, nie dość że rzucała się w oczy, była zupełnie nie na rękę i nie mieściła się w głowie. Cienka, ciężka sprawa Oślupiały starzec lustrował własne dłonie – chude, patyczkowate i dziwnie obce – pod kątem dywersji i sabotażu. Wciąż siedząc, przytknął opuszek małego palca do czubka łódki; mimo że nie był atletą, zrobił to wyprężony jak struna, a nie zgarbiony i sapiący z wysiłku – oznaka długości rąk. Tego było mu mało, bowiem odkrycie tylko wzmogło wcześniejszy przestrah. Wyrzucił rozwałkowane dłonie, hen, poza łódkę i manewrując po omacku, objął kadłub w poprzek. Uścisk skrępował nieprzyzwyczajone czółenko. Brykało w próbie zrzućcia pętli niczym magik owinięty żelaznym łańcuchem i wrzucony do wielkiego akwarium. Zrezygnowany Bagu zwolnił uścisk i wciągnął dłonie na pokład. Zmrużonymi oczami mierzył ręce wyciągnięte ponad stan. Jednocześnie staruszek główkując nad niewyjaśnionym wzrostem, przeląkł się wizji dalszego rozrostu. A jeśli na rękach nie koniec? Jeśli inne kończyny pójdą w ich ślady. Łódeczka nie pomieści olbrzyma. Albo wyskoczy w porę, albo wszyscy pójdą na dno. Na samą myśl o podobnej ewentualności, docisnął do podbródka zgięte kolana i oplótł je zwojem rąk, palce zbił w zatrzask. Postanowił, że jeśli reszta ciała zacznie pęczniej, zatrzyma je siłą, nie popuści uścisku i zaciśnie go tym mocniej. Prędzej umrze niż pozwoli umrzeć innym... Na szczęście, dla nas i Bagu, to nie było potrzebne (a przynajmniej, nie teraz).

Sen Mgobo właśnie dobiegł końca. Ostatnia prosta i przebudzenie; meta bez nagrody, oklasków, podium. Tubylec opuszcza sen tak jak tam przybył – z pustymi rękami. Morze szumiało łagodnie; czółenko milczało, gdy chłopiec otworzył ospałe powieki i potoczył dookoła wzrokiem. Z niemym zdziwieniem spo-

strzegł skurczoną postać starca i jego nienaturalnie długie ręce opatulone wokół kolan. Szybko wstał i usiadł twarzą do chorego.

Co się dzieć? – spytał cicho, palcem wskazał na lewe ramię Bagu,

Ja wiosłować, bo tak chcieć, ale woda mnie rozciągnąć... Jak ty rozciągnąć łódeczka – przyznał wyraźnie zakłopotany, z czołem podniesionym znad łysiny kolan. Objął zatroskanego malca smutnym wzrokiem, bo rękami już nie mógł.

Czy boleć? – niepokoił się chłopiec. W międzyczasie, wtórny wstyd zdążył przykryć pierwszy szok.

Malec – w duchu winny, bo jego ręce wyglądały po staremu - w pośpiechu skrył dłonie za plecami.

Nie, tylko czuć obco – łagodził starzec. Nie wiedział co powinien zrobić, co mógł zrobić... teraz zdziłać. Miał podwójnie związane ręce (Drogi Czytelniku, wybac mi równie niezamierzoną grę słów). Jeśli znów zaczną rosnąć, w końcu wywróci czółenko, jeśli nie wróci do wiosłowania, ich poszukiwania dobiegną kresu dokładnie pośrodku oceanu.

Chłopiec łowił trzepoczące myśli, które płynęły w rysach starca; korowód bezpłodnych pomysłów żłobił zastygłe wadi leciwych bruzd. Głowił się bezowocnie. Bagu był najmądrzejszy ze wszystkich tubylców, mimo to teraz nie znał odpowiedzi. Jej poznanie lub jego brak zaważy na całym życiu: na życiu Bagu, Mgobo, całej wioski. Chciał pomóc. Wiedziony przecuciem lub doświadczeniem, chłopiec sięgnął ręką przed siebie. Starzec zadrżał na dotyk cudzych palców. Zwinięty w kłębek nerwów, odbił się stopami od dna łódki i przywarł do tylnej ściany czółenka. Niezrażony chłopczyk ponowił ruch. Spokojnie i niepośpiesznie sięgnął dłonią naprzód, jednocześnie spojrzał głęboko w spłoszone, orzechowe oczy; z drugiej strony, odrętwiały Bagu czekał posłuszenie. Lewa dłoń chłopca spoczęła na wysuszonej skórze walcowatego przedramienia. W ślad poszła druga. Mgobo zaczął gładzić rękę starca; zginać ją, ścisnąć, szczypać, przekręcać i ugniatać. Nie przerwał pracy aż dojrzał jej pierwsze efekty. Po 546 długich oddechach (to jest, mniej więcej kwadransie) ręce wróciły do pozorów dawnej długości. Mgobo cofnął omdlełe dłonie, zmęczony nie na żarty, jednak to pogodny uśmiech, a nie wyraz znoju zawojował dziecięcą twarzyczkę. Odpowiedział mu blask równie pogodnych oczu, gdy starzec skinął głową w podzięcie i uznaniu, nie przerywając masażu.

Mgobo obrócił się i przysiadł na kolanach. Wpatrzony w rozgwieżdżone niebo i pustkę oceanu, łowił blednące wspomnienia domu. Wiedział, że gdzieś tam, może na drugim krańcu świata, właśnie odpływa rodzinna wioska. Niesiona w łupie, wraz z falbaną plażą, wieńcami krzewów i koroną góry, znika za falami zmierzchu. Fałszywie rozbudzony, rozejrzał się dookoła. Ani śladu wyspy, wieloryba, czy wyspy w wielorybie. Usta małego biedaka wypełniało wielkie pragnienie; w palącym gardle pełzały jęczyczki ognia. Co za wymyślna tortura – morze pełne wody, lecz ni kropli do picia. Cała ślina wsiąkła w opuchły język; dziąsła wyschły na wiór, nabrzmiały. Nawet mały Mgobo wiedział, że morskiej wody pić nie wolno – pod rządnym pozorem. Nie gasiła pragnienia - zaogniała je. Bez dwóch zdań, tylko że... Mimo zakazów, nie sposób nie spojrzeć na wodę, gdy całe ciało o nią krzyczy.

Mgobo dzielnie walczył, lecz na przekór oporowi lub dookoła niego wciąż marzył o morzu. W rzeczy samej, pragnienie nigdy nie przemija, a jedyne co można zrobić, to czasowo je ugasić. Mgobo musiał dorosnąć do tej prawdy i całego życia beznadziejnej abstynencji. Póki co miał w głowie bez ustanku: „Jeden malutki łysek dla malutkiego chłopczyka”. Przecież mu nie zaszkodzi. „Od tak, na spróbowanie” zachęcał samego siebie. „Pewnie jest równie paskudna w smaku, że pierwszy łyk będzie też ostatnim” dowodził. Pomalutku, z rozmysłem lub bez niego, chłopczyk przechylił się przez krawędź łódeczki. Wyjrzał za burtę. Była tam. Całe morze, a wyglądała na chłodną i gotową do wypicia. „Tylko kropelka” obiecał obłudnie i zgiął kark. Bagu przeoczył ruch chłopca. Nie dostrzegł, że Mgobo nurkuje pod burtą, liżąc spękane wargi.

To chyba fakt, że własne nieszczęście przysłania nam to cudze. Dla przykładu (nie do naśladowania): zajęty własnymi rękoma starzec zapomniał o całym świecie. Gdyby tylko teraz zobaczył chłopca, wnet szarpnąłby straceńcem do tyłu, potrząsnął nim i otrzeźwił go. Jednak nie robi tego. Nie na kartach tego opowiadania. Chłopczyk zdany na swój własny osąd, stracił kontrolę. Wnet, pociągnie z morza, jeszcze jedna chwila... Kto poza mną wie, czy to nie ostatni łyk w jego krótkim życiu? Nieborak zamknął oczy i wydał strupiałe wargi. Jakie było jego zdziwienie, gdy usta miast atłasu słonej wody, dotknęły meszkowatego materiału. Zaraz też podniósł powieki i wzdrygnąwszy się, cofnął do tyłu. Równie naprzeciw zgrabnego noska płynął samotny strzęp wełny, rozmiarem większy od kłaka ale mniejszy od funta. Zaraz za nim, gęsiego, sunął kolejny kołtunek, krok dalej tarczę morza strzępił kamienny grot, zaś potrzaskany kostur przewodził pochodowi podobnych złomków. Mgobo ocucony odkryciem, bez zwłoki wznosił skołowaną głowę. Słońce dało nura za horyzont już dawno temu, lecz światła było pod dostatkiem, bowiem

blade promienie brodziły w morzu, zdobiąc je księżycową poświatą. Chłopczyk kręcił głową całkiem zbi-ty z tropu, podobnie Bagu; w jego oczach zapłonęło bliźniacze zdziwienie (starzec zdarzył zakończyć re-habilitację - ręce wrócił do poprzedniej długości i złożone, odpoczywały na kolanach). Rozbitkowie poto-czyli dookoła wzrokiem. Multum przedmiotów: ułamane dzidy, wielkie, obite krowią skórą tarcze oraz dziwne, białe - czarne nakrycia głów unosiło się w i na wodzie. Wszystko to rozrzucone w nieładzie i nadpsute jak po wielkiej bitwie. Pojawiły się znikąd, by równie szybko odejść. Jedno po drugim, znale-ziska nikły pod wodą. Wystarczyło na nie spojrzeć, a już tonęły, ginąc bezpowrotnie.

Rozbitkowie chłonęli dziwy w milczeniu. Skupieni, zapomnieli na chwilę o własnej misji. Wciąż w letar-gu, Mgobo nagle poczuł, że ktoś zerka mu przez pochylone ramię. W zmarszczonej powierzchni szarej wody dojrzał równie zmarszczoną, srebrną twarz. Obrócił się szybko jak złapany na gorącym uczynku i nad sobą dojrzał owal księżycy.

Dzien.... dobry? – zagadnął niezdarnie. Starzec spojrział na twarz współrozbitka i wnet podążył za dziecięcym głosikiem. W mig rozpoznał profil gościa, a starcza dłoń powędrowała do piersi. Dobry wieczór – odpowiedział Księżyc, rześkim głosem, w którym przygrywał cień zaniepokojenia. Na widok ludzkich twarzy, bruzdy na srebrnej twarzy wgrzyły się o kilka cali głębiej. Jesteście pierwszymi ludźmi, których spotykam dzisiaj wieczora – powiedział prosto z mostu i zapytał bez ogródek - Czy wiecie, gdzie jest reszta?

Chłopiec zaprzeczył żwawo ruchem głowy.

Może wielki wieloryb ich ukraść jak nasza wyspa - rzucił był Mgobo nim starzec zdążył go odciągnąć. Srebrną Twarz, dotąd raczej rezolutna, nagle spoważniała:

Wieloryb?

Mgobo rwał się do odpowiedzi, lecz Bagu uprzedził chłopca i wciąż na klęczkach, wyjaśnił łagodnym głosem:

Wielki wieloryb ukraść nasza wyspa wczorajsza noc. Złota Twarz i my go szukać.

Z wysuniętym podbródkiem, Księżyc rzucił okiem to w prawo, to w lewo, łowiąc wśród toni widok

wspomnianej bestii. Najwyraźniej nie puścił doniesień mimo uszu (choć nie dał im też pełnej wiary). Wręcz przeciwnie. Potwierdzone, słowo rozbiteków wiele tłumaczyłoby. Faktem jest, że nad ranem rzeczywiście rozpoznał niebotyczną płetwę wciągana z ogłuszającym hukiem pod wodę. Nowa relacja jest warta dalszego zastanowienia. Póki co, pobieżnego. Równie dobrze ta para mogła paść ofiarą zwidów – oboje wyglądali na odwodnionych i wygłodniałych. Z zamyśłu wyrwał go melodyjny głos starca:

Ty dojrzeć nasza wioska z Twoja góra? – zapytał z szacunkiem Bagu.

Niestety - przyznał rozczarowany satelita. Od rana bujał nad bezkresnym oceanem, dziś iście księżycowym krajobrazie pozbawionym nawet kraterów. Wszędzie woda i kilka małych skałek zaczepionych o fale. Obraz nie do poznania, obraz, który mało kto chciałby poznać.

Ty móc rozmawiać z gwiazdy? - podpytywał nieśmiało Bagu, wbiwszy wzrok w dno łódki.

Mogę próbować, ale one i tak mnie zbywają i nic nie odpowiadają, bo jestem stanowczo za niskich lotów jak na ich gusta, Nie są w stanie zdzierżyć moich zapatrywań - utyskiwał Księżyc - Według nich czarna owcą astralnej rodziny ze mnie, a do tego obibok, który zamiast tworzyć światło, woli je kraść od lepszych.

Starzec pokiwał poważnie głową, choć powaga tego oświadczenia mogła umknąć mniej roztropnym. Długo zbierał siły nim zadał trzecie, ostatnie, ale najważniejsze pytanie. Zostawił je na sam koniec, bo i odmowa wiązała się z końcem. Skupił się, wziął dwa głębokie wdechy, dłonią nakazał Mgobo milczenie. Chłopczyk posłuchał, choć groźba sytuacji była mu zupełnie obca. Jednak starzec wiedział lepiej.

Rozbitek nie powinien zwracać uwagi Złotej Twarzy na siebie – to było pewne. Ze Srebrną obliczem bywało inaczej. Raczej przychylne, śmiertelnie obrażone mogła całkowicie zniknąć – w czas pochmurnej nocy, impertynent miast w ciemnej wodzie, ginął w nieprzeniknionym mroku. Nie mieli żadnej pochodni, więc ostrożności nigdy za wiele. Tak przynajmniej sądził Bagu. W rzeczywistości, między mną a Tobą, Drogi Czytelniku, Księżyc zawsze przynależał do najlepszych przyjaciół człowieka. Różny od Słońca jak dzień i noc, wolał pozostać w cieniu gwiazdora; gdy szło o ludzi i ich wybryki, prędszy do płaczu niż do złości. Jeśli krążyły na świecie jakieś podłe i wierutne historie, o Księżycu to ani chybił były dziełem krążącego po świecie Słońca. Tak się bowiem składa, że Złota Twarz ścierpieć nie mogła widoku tej Srebrnej, klnąc ją od najgorszych (między innymi: złodziejaska, imitatora, pozera i beztalencia). Powodem była, a jakże, wszechobecna zazdrość. Słońcu, tak bardzo zazdrosnemu o własną pozycję, nie szło dzielić się nią z innym globem. Zepchnąć Księżycza nie sposób, odepchnąć w niebyt również, dlatego przymierzyło go oczernić – w tym było naprawdę sprawne (zresztą, nieciężko osiągnąć mistrzostwo w równie lubianym fachu). Wielu z chęcią nadstawiło uszu na tę obmowę. W ten sposób Księżyc legł w cieniu i Słońca, i jego podejrzeń aż po dziś dzień, a nawet mądrzy ludzie, tacy jak Bagu, powtarzają zasłyszane plotki.

Czy ty widzieć wieloryba. Olbrzymi. O wielki... - zapytał w końcu starzec. Swoje słowa poparł marnymi gestami w beznadziejnej próbie oddania prawdziwych gabarytów bestii.

Widziałem go nad ranem... – obaj rozbitkowie sapnęli i wespół zamarli - ale to bandyckie Słońce znów zastąpiło mi drogę i musiałem dać nogę za widnokrąg (o, rym mi się wdarł); odczekałem trochę zanim nim za niego wyjrzałem. W każdym razie, nie ma wątpliwości: myślimy o jednym i tym samym wielorybie. Dwóch takich świat, by nie pomieścił, nie ma mowy. Od tej pory go nie widziałem - zakończył.

Powiedziawszy to Księżyc wzniosł się do góry niczym srebrny balon i przeczesywał wzrokiem grzywy morskich fal oraz pojedyncze odrosty morza.

-Ni hu hu – dobiegło sponad czołna.

Zrezygnowani rozbitkowie przywarli do dna łódeczki. Teraz, gdy wiedzieli, że są na tropie, każda kolejna chwila poszukiwań ciążyła niczym wyrok. Księżyc milczał. W końcu musiał dostrzec coś ważnego – zniżył się szybko (a muszę tutaj dodać, że ilekroć wznosi się, morze z lekka opada; gdy sfruwał ku Ziemi, akwen podniósł się z dna i próbował musnąć go falami). Glob oznajmił rozbitkom:

Trochę mi to zajęło, lecz na północy dojrzałem tycią wysepkę. Jest jeszcze mniejsza od tej waszej; taka drobinka, która spadła z wczorajszego stołu obfitości. Jednak w okresie takim jak ten każdy okruch jest na wagę złota, a wy przymieracie głodem.

Co więcej, ktoś na niej waruje, jakiś odległy, zamazany kształt. Po ciemku ciężko powiedzieć, co to. Popłyńcie tam i zobaczcie, na co też czeka. Może właśnie na was. – zakończyło zachęta. Obaj rozbitkowie spojrzeli we wskazanym kierunku.

Czy spotkać się jutro w tym miejscu? - zapytał Mgobo przez ramię, ze wzrokiem naiwnie utkwionym w niewidocznej skale.

Kto wie - nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył Księżyc.

„To ostatnia szansa” pomyślał starzec na chwilę przed rozstaniem. Bez pomocy nie dotrą nawet do wysepki, a o dalszej podróży nie było nawet mowy. Konali z pragnienia (powodowany wrażliwością, postanowiłem zakryć część ich mordęgi i to dlatego rozbitkowie często brzmią bardziej rześko i zdrowo niż było w rzeczywistości, gdy ślaniali się nad gronem) Nie mógł poprosić o wodę wprost, to urągało pozycji Srebrnej Twarzy. Mógł jednak szepnąć. Jeśli będzie chciała, usłyszy – jeśli nie, może udać niedo-
słyszającą.

Pić – wyszeptał błagalnie Bagu do dna łódki.

Przyjaciół poznaje się w biedzie, a traci w bogactwie. Księżyc ani myślał pozostać głuchym na podobną prośbę. Po srebrnych ustach przemknął blady uśmiech.

Musicie być bardzo spragnieni, cały dzień na morzu bez świeżej wody i owoców. Mogę nieco pomóc. W zasadzie.... właśnie w tym jestem naprawdę dobry. - oznajmił dziarsko i zaczął pluć na wszelki strony, tak obficie, że już po chwili Mgobo i Bagu byli na powrót rześcy. Przez szparę w siódmkach wystrzeliła chmara bladოსrebrnych obłoczków i Mknąc do morza skraplały się w pękate hausty. Chłopczykowi woda niespecjalnie smakowała - wzdrygał się przy każdym łyku, za to Bagu wpadł niemal w euforię, wychylając się zza burtę by koniuszek języka umoczyć w przelatujących, przeźroczystych kroplach wielkości pięści.

Księżyc ruszył za własnymi sprawami – oni na poszukiwanie maleńkiej wysepki.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

prospersurman, dodano 20.08.2017 14:33

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.